



~~PAWEŁ~~ niedziela, 12.02.2024

Moje wspomnienia z Białorusi

Ks. Roman Foksiński

Ur: 16.11.1960, Golub Dobrzyń;

Przynależność: diecezja włocławska;

Święcenia kapłańskie: 09.06.1985, Włocławek;

Ewangelizacja od 1992: BIAŁORUŚ, Archidiecezja mińsko-mohylewska

Kalendarium posługi:

1992 do 1993, parafia pw. Wniebowzięcia NMP i św. Stanisława bm. w Mohylewie, pomoc w duszpasterstwie.

1993 do 2000, parafia pw. Niepokalanego Poczęcia N.M.P w Bobrujsku, posługa proboszcza.

2000 do 2014, parafia pw. Wniebowzięcia NMP w Mohylewie, posługa proboszcza i dziekana dekanatu mohylewskiego.

Od 2014 Dyrektor Centrum Pastoralnego przy Konferencji Katolickich Biskupów na Białorusi w Mińsku.

Ponadto:

Od 1996 r. członek Komisji Koordynacyjnej Synodu, uczestnik w pracy synodu.

Od 1997 r. ojciec duchowny archidiecezji mińsko-mohylewskiej.

1997 - 2010 praca w Sądzie Kościelnym.

2014-2020 r. Dyrektor Centrum Pastoralnego przy Konferencji Katolickich Biskupów.

2014-2020 r. „Dyrektor” Domu Sekretariatu Episkopatu Białorusi.

Pełnienie kilku funkcji jednocześnie wymagało ogromnego wysiłku. A wszystko z powodu braku kapłanów. Jednak kapłani, a wśród nich ksiądz Roman, chętnie służyli swoim zaangażowaniem, choć praca w parafiach bardzo angażuje i wymaga dużo wysiłku oraz dyspozycyjności.

Wywiad: 30.05.2018, Mińsk

Ksiądz już od początków lat 90-tych posługuje na Białorusi, co było impulsem do podjęcia tej posługi?



PAWEŁ Dobrego przyjechałem? Pochodzę z diecezji wrocławskiej, do której po traumie II wojny światowej przybyło wielu kapłanów z Kresów, m. in. ze Lwowa i okolic, z Wołynia.

Jest to spłatenie długu za ich pracę na rzecz diecezji wrocławskiej, za wysiłek dla parafian. To właśnie postawa tych księży miała na wielu z nas ogromny wpływ. Od nich dowiedziałem się o rzezi wołyńskiej. To oni opowiedzieli mi o tym, jak przeżyli, jak się uratowali, ale też jak zginęli członkowie ich rodzin. Odtwarzali w swej pamięci czas, kiedy ukrywali dzieci, które uciekły z własnych wiosek, w których szalało okrucieństwo.

W naszej diecezji byli także kapłani, którzy w czasie okupacji niemieckiej zostali aresztowani i więzieni w przejściowym obozie dla księży zorganizowanym przez Niemców w klasztorze cystersów w Łądzie. Aresztowano ponad 150 duchownych, a wśród nich był między innymi bp. sufragan wrocławski Michał Kozal czy późniejszy arcybiskup szczeciński Kazimierz Majdański, który został wywieziony do Dachau. W tym niemieckim obozie koncentracyjnym zamordowano wielu księży, którzy do końca byli wierni swemu powołaniu. Diecezja Wrocławska, to jedna z diecezji, która najwięcej straciła kapłanów w czasie II wojny światowej. Dlatego te „puste” miejsca zapełnili kapłani ze Wschodu. Kapłanami stawali się też młodzi ludzie, którzy w okresie powojennych wywozek przybyli do nas jako chłopcy razem z rodzinami z Kresów. To wszystko sprawiło, że w naszej wrocławskiej katedrze była dość duża diaspora np. z Wilna, która mocno i owocnie odciskała się na codziennym życiu parafii. I tak na przykład zawsze 16 listopada na Matki Bożej Miłosierdzia Ostrobramskiej była celebrowana uroczysta Msza św.

Duży wpływ na moją decyzję do podjęcia pracy na Wschodzie miał też biskup pomocniczy naszej diecezji wrocławskiej bp. Roman Andrzejewski. Ksiądz Biskup wlewał w serca kleryków miłość do Wschodu, mówił nam "to nie przypadek, że uczono was języka rosyjskiego to Bóg tak chciał, abyście mogli służyć". Często modliliśmy się za wolność Kościoła na Wschodzie. Z diecezji wrocławskiej dość duża grupa osób duchownych wyjechała na Wschód. Wśród nich byli nie tylko kapłani diecezjalni, ale i zakonnicy: Salezjanie, Marianie, Misjonarze św. Rodziny, Orioniści. Wielu z nich pochodzi z samego Wrocławia i do dziś pracują na Wschodzie.

Pierwszym z nich był ks. Władysław Blin, obecny biskup senior, który przyjechał na Białoruś w 1989 r.. Wtedy ja też chciałem razem jechać, ale pozwolenie na wyjazd od biskupa otrzymałem dopiero trzy lata później. Ksiądz Biskup jechał na Wschód z wielką radością w sercu, bo tak naprawdę wracał na swoje tereny. Jego ojciec pochodził z głębockiego rejonu.

Na Białoruś przyjechałem 4 września 1992 r. Możliwe to było dzięki rozmowom i uzgodnieniom Delegacji Papieskiej na świętowanie Jubileuszu 1000-lecia Chrztu Rusi pod przewodnictwem Prymasa Polski kard. Józefa Glempa jako legata papieskiego. I właśnie ówczesna delegacja przybyła do Moskwy na jubileuszowe uroczystości. Rezultatem tego były ustalenia z prezydentem ZSRR Michaiłem Gorbaczowem, który zezwolił na przyjazd 50 kapłanów do Republiki Białoruskiej.

Jak ksiądz wspomina pierwsze przyjazdy na Białoruś, gdy jeszcze był Związek Sowiecki, jak do tego doszło?

Pamiętam, że ks. Władysławowi Blinowi w Mohylewie pomagała p. Galina Albertowna Kościukiewicz, która była ekonomką. Wspaniały człowiek, całe swoje życie poświęciła Kościołowi. Nie byłoby odnowienia kościoła, gdyby nie tacy ludzie jak ona. Było wiele wspaniałych osób, ale pomoc, zaangażowanie pani Galiny i innych ludzi świeckich, było szczególne i nieocenione. Niektórzy świeccy zawsze byli niejako na pierwszym froncie pracy ewangelizacyjnej i organizacyjnej. Bardzo się narażali, bo przecież to wszystko działało



PAWŁA w czasach sowieckiego reżimu.

Na Białoruś pierwszy raz przyjechałem w sierpniu 1990 roku na zaproszenie ks. Władysława Blina. Był to krótki wyjazd, ale dla mnie niejako przygotowujący ostateczną decyzję wyjazdu z kraju.

W tym czasie do Grodna z mojej diecezji, tj. z diecezji wrocławskiej, wybierał się ks. Andrzej Aniszczyk. Jego rodzice pochodzili z Białorusi, ojciec spod samego Grodna. Więc po przyjeździe na miejsce mieliśmy nocleg, niejako bazę. Z nami jeszcze jechał diakon Piotr Rusin, z którym - po odpoczynku w Grodnie - wychaliśmy autobusem do Mohylewa. A tam ciekawe zamieszanie. Przyjeżdżamy na ul. Moskiewską. Tam mieszkają Siostry od Aniołów, które kierują nas do Galiny Albertownej Kościukiewicz. Na miejscu serdecznie przyjęła nas jej mama, zamieszkaliśmy u p. Katarzyny Kościukiewicz.

Kolejnego dnia spotykamy się z ks. Władysławem Blinem i tu po krótkim przywitaniu otrzymujemy nasze pierwsze „dekrety”. Ksiądz Blin, dając nam chłopaka jako przewodnika, mówi: „Pojedźcie do Lepiela, Uła, Witebska, Nikołajewa. Nie tracie czasu, bo ludzie tam czekają”.

I tak zaczęła się nasza służba ludziom na Białorusi. Jestem wdzięczny, za takie szybkie działanie, bo to potwierdziło sens mojego przyjazdu i jeszcze bardziej zmotywowało mnie do pracy. Ksiądz Blin Władysław zawsze tak działał. Przyjmował kleryków, czy księży na chwilę i od razu wysyłał ich na misję, stwierdzając krótko: „Jedźcie tam, tam”. A oni organizowali się w grupy, dostawali trochę pieniędzy i ruszali w drogę autobusem lub samochodem. Ksiądz Blin miał wszystko dobrze zorganizowane. Razem ze świeckimi opracował całą siatkę i grafik wyjazdów.

To ja byłem pierwszym kapłanem, który odprawiał Mszę św. w kościele w Lepielu, krótko po tym jak znów wrócił w ręce katolików. Wcześniej odebrany wspólnie przez Sowietów, a następnie na wiele lat zamknięty. Kiedy przyjechałem do Lepiela, kościół był już oddany wspólnie, ale straszliwie zniszczony, ponieważ Sowietci urządzili w nim główny skład dla Zakładu „Elektrosieci” z wielkimi urządzeniami - z suwnicami do ładowania kabli w wielkich szpulach oraz garażem. Parafianie przygotowali kościół, tak jak mogli. Wymieśli śmieci ze środka kościoła i prezbiterium, a zbita przez nich i postawiona w apsydzie pod ścianą skrzynka, służyła za pierwszy ołtarz. Kiedy się tam pojawiam, pytali się, czy dobrze zrobili. Potwierdziłem, że dobrze. Wszystko więc było gotowe do odprawienia długo oczekiwanej Mszy Św. Zaczynamy, a tu zrywa się jakiś dziwny wiatr i wlatuje do świątyni i trzepocze folie, które były zamiast szyb na oknach. Po kościele zaczynają chodzić jacyś dziwni ludzie, którzy zaczynają przeszkadzać w celebrowaniu Mszy św. Na ulicy puszcza głośno muzykę. To wszystko wyglądało tak, jakby diabeł się wściekał, że ta świątynia znów zaczyna żyć, że wraca do ludzi, do Boga. Takie właśnie miałem wewnętrzne wrażenie.

Pan Jezus kiedyś, widząc wielkie rzesze ludzi, powiedział: „Żał mi tego ludu, bo są jak owce bez pasterza”. Tak było i na Białorusi. Przez lata ludzie czuli ból i pustkę, bo byli bez kapłana. Jednak to nie był koniec ich udręki. Przez długi okres, bo ponad 70 lat przeżywali prześladowania, wywózki, zsyłki, łagry, więzienia. Wielu zapłaciło najwyższą cenę, bo przelali krew za wiarę.

Abym mógł zostać u nich na stałe, potrzebna była jeszcze zgoda mojego biskupa. Więc zachęciłem wiernych słowami: „Piszcie list do mojego biskupa, ja zawiozę go do niego.”. Oni ze łzami w oczach pisali.

Doskonale pamiętam pani Marię, przewodniczącą komitetu kościelnego tej parafii, która głośno płacząc, pisała po polsku swoją prośbę. To wspomnienie mam zawsze w sercu i ono mi zawsze mówi, że dobrze zrobiłem. Nie żałuję ani dnia, ani minuty swojej misyjnej i duszpasterskiej drogi. Wiem, że moja decyzja była bolesna dla rodziny i przyjaciół, ale to był dobry wybór dla mnie i



~~PAWŁA~~ z Białorusi. Bóg wezwał mnie z moich rodzinnych stron, z mojej diecezji tutaj - do tego ludu na Białorusi.

To tutaj znalazłem swoje nowe miejsce na ziemi. To tutaj poczułem się absolutnie potrzebny ludziom. Prośby tych lepielskich parafian oczywiście zawiozłem, ale niestety musiałem jeszcze poczekać, bo aż do 1992 roku.

W Polsce miałem dużo pracy i dobrze się sprawdzałem. Dobrze czułem się w tej posłudze, nie było nawet czasu dla siebie. Ostatnią przystanią w ojczyźnie, była parafia św. Maksymiliana Kolbe w Koninie. Była to bardzo duża parafia, bo licząca aż 18 tys. dusz. Pracowałem w dużej wspólnocie księży: proboszcz i 4 wikariuszy. Mój dzień pracy wikariusza, katechety, rozpoczynał się o 7:00 i trwał do 21:00. Non stop było coś do pracy. Zaangażowałem się bardzo mocno w pracę z dziećmi i młodzieżą. Osobiście byłem rejonowym duszpasterzem młodzieży rejonu konińskiego, odpowiedzialny za jedną z części diecezji duszpasterstwa młodzieży. Byłem katechetą w szkole, to był początek wejścia katechezy do szkół w Polsce. Angażowałem siebie i młodzież w Ruch Światło Życie i ruch „oazowy”, rekolekcje ewangelizacyjne i inne wydarzenia. Prowadziłem też Kręgi Kościoła domowego. Tu zdobyłem doświadczenie pracy z rodzinami. Były i piesze pielgrzymki do Częstochowy i przegląd twórczości religijnej. Jestem pierwszym przewodnikiem i założycielem Pieszej Konińskiej Pielgrzymki na Jasną Górę. Pamiętam, jak w Licheniu udało się zebrać ogromną liczbą maturzystów. Ówczesny kustosz stwierdził, że pierwszy raz w historii sanktuarium, a na Światowe Dni Młodych w Częstochowie w 1991 roku poszło pieszo w pielgrzymce, czy pojechało pociągiem razem ok. 2000 młodych ludzi. Ogromna satysfakcja mnie ogarniała, kiedy patrzyłem na te uśmiechnięte twarze, z których biła radość z bliskości życia z Bogiem czy z bycia u Matki Bożej Licheńskiej, czy Częstochowskiej. W tym wszystkim jednak nie miałem pokoju, ciągle w głębi duszy było wołanie, by pójść dalej, by iść do braci i siostr, którym jest potrzebna pomoc pasterska, a którzy są, jak owce bez pasterza. Bóg wołał mnie na wschód. Te pierwsze siedem lat kapłaństwa, ten polski epizod pozostał w głębokiej mej pamięci, więc decyzja o wyjeździe nie była łatwa, ale wewnętrznie konieczna, bo Bóg wołał. Ciężko mi było opuszczać Polskę, ale czułem, że Pan Bóg mnie woła tutaj, na Białoruś.

Zaszczepiona miłość do Wschodu w końcu mnie pokonała.

To Pan Bóg wlewa w serca ludzi dar powołania, a człowiek współpracuje z Nim, z Jego łaską we wszystkim. I tak rodzi się kapłaństwo, powołanie misyjne - „Idź na krańce świata i głos Ewangelię”. Pamiętam swój pierwszy rok w Seminarium Duchownym, kiedy to tylko, co wstąpiłem do seminarium, odkryłem, że w moim powołaniu do kapłaństwa jest jeszcze powołanie misyjne. To mi nie dawało spokoju. Wtedy zacząłem korespondować z księżmi pallotynami. Moi przyjaciele z pokoju, w którym mieszkaliśmy razem, zauważyli, że coś mnie martwi. Zapytali się, co się dzieje? Na ich pytanie odpowiedziałem, że muszę porzucić seminarium i przejść do zakonu, który posiada charyzmat misyjny i przygotowuje do pracy misyjnej. Po długiej rozmowie przekonali mnie jednak, że diecezjalny ksiądz może pojechać na misje, przecież byli już w tym czasie na misjach w Afryce księża z naszej diecezji. Uspokoilem się. Dalej kontynuowałem swoją formację seminaryjną.

Bp. Roman Andrzejewski w latach 80-tych przyjeżdżał na Białoruś, więc poznał tutejszych ludzi, ich tęsknotę za kapłanami, za Kościołem. Biskup był nie tylko profesorem od łaciny, patrologii, ale był przede wszystkim naszym wychowawcą. To on jako pierwszy z biskupów polskich podróżował po Białorusi, Litwie i Ukrainie. Dzielił się z nami wspomnieniami z tych wyjazdów, co spowodowało, że



PAWŁA. Właściwie nie miał w nas miłość do „Wschodu”. Kiedy słuchałem jego opowieści, w moim sercu rodziło się pragnienie pracy na wschodzie, które systematycznie wzrastało.

Pewnego razu oglądałem film dokumentalny poświęcony wyjazdowi biskupa R. Andrzejewskiego, który wiem, że nawet dotarł do papieża Jana Pawła II. W filmie była scena przedstawiająca naszego bp. prof. Andrzejewskiego przed kościołem w Bobrujsku. Ksiądz Biskup w pewnym momencie tego filmu dotykał ściany świątyni, która była symbolem wszystkich zamkniętych białoruskich kościołów i powiedział wtedy: „Jak ja bym chciał, żeby ten kościół był czynny, żeby działał. Jakbym chciał, żeby w tym kościele pracował ksiądz z mojej diecezji” Te słowa głęboko zapadły mi w serce. Były one prorocze. Okazało się, że to ja byłem tym księdzem, który po kilku latach od jego wizyty, został proboszczem tego kościoła. Ks. Władysław Blin dał mi ten film, abym go zobaczył, bo ks. Władysław nie wierzył, że ja tutaj przyjadę.

-
Mohylew 1992 r.

Jak wyglądały początki księdza pracy na duszpasterskiej na Białorusi?

W wieku 33 lat, nie mając doświadczenia pracy misyjnej, przyjechałem na Białoruś 4 września 1992 r., najpierw do Mohylewa. Tam pomagałem w duszpasterstwie proboszczowi ks. Władysławowi Blinowi, późniejszemu ordynariuszowi nowo utworzonej diecezji witebskiej.

Ciekawe, że trochę wcześniej, bo w sierpniu tego samego roku do Mohylewa wróciły Misjonarki Świętej Rodziny, do miejsca gdzie zostały założone przez bł. Bolesławę Lament. One to były moimi pierwszymi przyjaciółkami w pracy misyjnej, bo niemal równocześnie rozpoczęliśmy tu pracę. Najpierw należało po prostu ewangelizować, katechizować oraz prowadzić formację, tak jakby to nic innego jak deuterokatechumenat. To wszystko zmierzało do powrotu i odbudowy świadomości istoty i znaczenia sakramentu Chrztu Świętego. Wielu ochrzczonych ludzi, którzy z różnych powodów skrywali swoją wiarę, która była nie pogłębianą, bo kto miał im mówić o Bogu. Bywało również tak, że rodzice nie wychowywali w duchu wiary, nie mówili o Bogu, bo sami też się bali bycia zdekonspirowanym czy ujawnienia się. Za to groziły różne represje, np. zsyłka, prześladowania, a nawet utrata życia.

Kościół w Mohylewie pamiętam jeszcze z sierpnia 1990 r., akurat na Matki Bożej Częstochowskiej tam byłem. Zanim przyjechałem na stałe do pracy, to odwiedzałem wcześniej Białoruś i dobrze pamiętam stan kościoła przed oddaniem go parafii, z czasów kiedy był jeszcze w rękach władzy. Wokół kościoła był płot, do którego były dobudowane z desek szopy, w których hodowano kury i króliki, a wszystko dookoła było zarośnięte chwastami. Przed katedrą i w samym jej wnętrzu trzeba było uważać, aby nie zrobić sobie krzywdy. Chodziłem po różnych miejscach budynku kościoła, a szczególnie wieżach, gdzie było wiele pomieszczeń mieszkalnych. Musiałem być ostrożny, bo można było oberwać kawałkiem muru lub po prostu polecieć w dół. Stan świątyni był opłakany, właściwie ruina. Z zewnątrz wygląd nie napawał optymizmem, zaniedbania były straszne i generalnie budynek był bardzo zniszczony. Ale w związku z tym, że Sowieci umieścili w nim archiwum miejskie, które musiało być ogrzewane, to świątynia w porównaniu z innymi takimi



~~PAWŁA~~ ani nie ucierpiała tak bardzo. Pamiętam jeszcze jeden ciekawy obrazek z tej pierwszej wizyty w katedrze mohylewskiej. W kościele siedzieli sobie dwóch mężczyzn, artystów konserwacji zabytków, jak się okazało żydowskiego pochodzenia. Odnawiali na suficie freski, dodatkowo pięknie śpiewając po polsku, to zrobiło wrażenie, skąd tutaj język polski?! Trzeba podkreślić, że gdyby jeszcze trochę czasu upłynęło, nie zwrócono by tego obiektu i wszystko popadłoby w całkowitą ruinę.

Kiedy zjawiłem się ponownie w Mohylewie, to kościół był oczywiście oddany wiernym. Trwał remont i dodatkowo prowadzone były prace ziemne wokół kościoła. Wcześniej nagromadzono dość dużo ziemi (powodem tego stanu było budownictwo dużych kamienic otaczających kościół katedralny, ziemi nie wywożono, ale rozsypano wokół) i trzeba było wywieźć ją spod kościoła. Wewnątrz samej katedry prowadzono pierwsze działania konserwatorskie. W środku nadal stały stare półki po przechowywanych dokumentach, które wykorzystano jako rusztowania (kościół w czasach sowieckich był archiwum miejskim). Gdy zobaczyłem katedrę i to co się wokół niej oraz w środku dzieje, ogarnął mnie duży smutek i przygnębienie.

Ksiądz Władysław Blin był tym kapłanem, który to wszystko przejął i dokonał restauracji kościoła. Wykonał ogrom pracy. To nie były przeciętne prace budowlane, to była tytaniczna praca, na którą ks. Blin sam musiał zdobyć fundusze. Biskup Blin wyżebrał każdy grosz, prowadząc przy tym bardzo skromne życie, wręcz żebracze i dodatkowo było ono w ciągłej drodze. Każdy najmniejszy nawet grosik odkładał dla parafii, na remonty, bo Biskup równolegle prowadził inne potrzebne inwestycje. Ludzie w Mohylewie to wszystko pamiętają. Gdyby dzisiaj bp. Blin do nich przyjechał, to witano by Go jak kogoś wielkiego, jak „papieża”.

W tym wysiłku odbudowy parafii i kościoła katedralnego pomagali ludzie świeccy. Wśród nich pani Galina Albertowna Kościukiewicz, kobieta, która poświęciła się mocno Kościołowi. Jest aktywna aż do dzisiejszych dni. Dzisiaj wspiera budowę kościoła św. Antoniego w Mohylewie, kiedyś pomagała przy remoncie katedry. Drugi raz przerabia od zera organizowanie kolejnej parafii. To jest świecki człowiek, ale śmiało można powiedzieć Boży człowiek. Ona całkowicie poświęciła się sprawie, służąc cały czas Kościołowi. Właśnie tacy ludzie jak ona, otaczali ks. Władysława i dlatego można powiedzieć, że to jest też i jej sukces. Takich jak ona jest wielu. W realizacji tego dzieła mają również swój ogromny udział Siostry od Aniołów, które w Mohylewie były kiedy jeszcze żadnego księdza nie było, to na nich opierało się duszpasterstwo, katechizacja, przygotowanie do sakramentów, życie religijne mieszkańców miasta i okolic. Nie wolno o tym zapominać.

Bóg sprawił, że przyszła wolność religijna. Kościół zaczął się odnawiać. Pojawili się kapłani, pierwsi po wielu latach, nawet po 70 latach. Zanim ja przyjechałem, to był tu o. Janusz Skęczek, dominikanin, który później rozpoczął pracę w Witebsku. Potem jako proboszcz przybywa, niestrudzony ks. Władysław Blin. Właściwie to właśnie w Mohylewie zaczął swoją działalność, przyjeżdżając do Sióstr od Aniołów, u nich zamieszkał, bo nie było gdzie. Pierwszą noc spędził na dworcu, bo było późno, by dotrzeć do sióstr. Tutaj szczególnie trzeba podkreślić rolę s. Genowefy siostry ze Zgromadzenia Sióstr od Aniołów. Kiedy przybyłem do Mohylewa, to Siostra była tam już od ponad 30 lat, więc jest świadkiem prawdziwego odrodzenia się Kościoła katolickiego na Białorusi. Z niezapomnianą s. Genowefą jest związana zabawna historia. Ksiądz arcybiskup Tadeusz Kondrusiewicz, w swoich kazaniach często wspomina, że Białoruś to dziwny kraj, bo „Pan Jezus jest w szafie, mieszka w szafie”. A było to tak. Kiedy pierwszy raz przyjechał do Mohylewa, oczywiście odwiedził Siostry od Aniołów. W czasie spotkania nagle jedna z zakonnic klęka przed szafą. Biskup Kondrusiewicz się zdziwił i pyta: „Jak to przed szafą siostra klęka?”. Siostra otworzyła drzwi szafy, a tam wewnątrz szafy było ukryte tabernakulum. Stąd powiedzenie biskupa - „Pan Jezus w szafie”.



W parafii było sporo młodzieży. Przyjeżdżając do Mohylewa, miałem już za sobą doświadczenie pracy z młodymi ludźmi. Tak w Polsce udało mi się zdobyć zaufanie młodych, tak samo w Mohylewie młodzież szybko przylgnęła do mnie. To była cudowna praca, która w przyszłości wydała sporo dobrych owoców. Trwała ona krótko, bo przez pół roku, tyle ile przebywałem pierwszy raz w Mohylewie, ale to były niezapomniane chwile w mojej posłudze duszpasterskiej.

Festiwal „Mahutny Boża”

Kto był głównym inicjatorem festiwalu „Magutny Boża”?

Idea tego festiwalu zrodziła już w 1992 roku, kiedy to jesienią z Polski przyjechał ks. Blin, który podchwycił ten pomysł od jednego z księży z Kalisza (od ks. prałata Stanisława Piotrowskiego). Wcześniej festiwal „Mahutny Boża – Wszechmocny Boże” to był międzynarodowym festiwalem muzyki chrześcijańskiej, do którego przygotowania zaczęliśmy już w grudniu 1992 r.. Impreza odbyła się 10 - 15 lipca 1993 r. Data festiwalu była związana z 13 lipca, datą konsekracji archikatedry mohylewskiej. Wiele rzeczy realizowaliśmy wspólnie z ks. Władysławem Blinem, więc i festiwal to nasze wspólne dzieło.

Ks. Blin, pomysł zorganizowania festiwalu oraz wyznaczenia mi funkcji dyrektora, zaproponował w drodze do Tałoczyna, gdzie właśnie odbierał kościół. „Wiesz...”, mówi do mnie, „.....w Kaliszu spotkałem ks. Prałata Piotrowskiego, podsunął mi myśl organizacji festiwalu muzycznego coś w rodzaju Sacrosongu. Ów ksiądz zorganizował jedną z edycji tego festiwalu w Kaliszu. Obserwując życie i pracę tego kapłana, pomyślałem sobie, że i my powinniśmy coś zrobić, aby ożywić ten teren, Myślę, że ekumeniczny festiwal muzyki byłby dobrym pomysłem.” I tak to się zaczęło. Ksiądz Władysław mówił głośno o swoim pomysle. Słyszając słowa biskupa, zgodziłem się na propozycję i od razu zaczęła się praca. Najpierw utworzenie komitetu organizacyjnego festiwalu, a następnie kierowanie jego pracami. Skład „egzotyczny”, ludzie z urzędu miejskiego, nawet wicemer, wydział miejski kultury, muzycy, profesorowie muzyki, reżyserzy, dziennikarze, graficy, nauczyciele i inni. Nie było łatwo, bo w tym czasie abp Świątek wysłał mnie do Bobrujska i do samego Mohylewa. Musiałem dojeżdżać. Z drugiej strony ks. Władysław Blin, rozumiejąc potrzebę tego festiwalu, podesłał mi księdza na zastępstwo oraz zorganizował materialną część tego przedsięwzięcia, więc można było działać.

-

Bp. Władysław Blin.

Wszyscy podkreślają niezwykle charyzmat organizacyjny bp. Władysława Blina i ja jako bezpośredni świadek potwierdzam, tak było. Biskup Blin to tytan pracy. Nie bał się nowych wyzwań, a wręcz sam ich szukał. W ludziach pozostawił głęboki, niezatarty ślad. Ludzie go nie zapominają. Wystarczy wypowiedzieć nazwisko Biskupa i wszyscy wiedzą o kogo chodzi.

Przez 10 lat razem pracowaliśmy na wielkim terenie. Ksiądz Blin czuł się bardzo odpowiedzialny za całe województwo mohylewskie, na terenie którego były dwa newralgiczne punkty - Mohylew i Bobrujsk. Sam Bobrujsk był dość dużą parafią, która wymagała troski. Bez bezpośredniej opieki, parafia była chyba przez rok. Pierwszymi kapłanami, którzy tu zawitali na dłużej byli: ks. Andrzej Szczęsny razem z ks. Sławomirem Laskowskim, który to z kolei objął parafię w Homlu. I z tymi i wieloma innymi księżmi współpraca doskonale się układała. Bardzo dużo placówek, miejsc na Mohylewszczyźnie otworzyliśmy razem. Gdyby nie było ofiarnej aktywności Biskupa,



~~PAWŁA~~ nie rozwinęłyby się tam tak wiele wspaniałych dzieł Bożych.

Ja i biskup Blin pochodzimy z tej samej diecezji i doskonale Go znam. Tak Pan Bóg dał, że w Polsce on był diakonem w parafii, w której ja po kilku latach byłem wikariuszem. Od Prymasa Polski kard. Józefa Glempa otrzymałem dekret na wyjazd do pracy na Białorusi. Od razu nie wiedziałem, dokąd mam pojechać. Ks. Władysław odwiedził mnie jeszcze w Koninie. Wtedy postanowiłem, aby przyjechać do Mohylewa. Biskup Blin dawał schronienie wszystkim księżom, którzy tu przyjeżdżali. To był taki punkt startowy dla wielu z nas. Każdy po otrzymaniu dekretu od kardynała K. Świątko odchodził na swoją parafię, tak było ze mną. Ks. biskup Blin zawsze przyciągał do siebie ludzi, bo był na nich otwarty. Jestem wdzięczny Panu Bogu, że pozwolił nam razem pracować, że na swojej drodze spotkałem tak wielkiego przyjaciela. Jego mentalność kapłańska, jego duch misyjny pobudzał każdego do takiej oddanej działalności. Wszyscy, którzy się z Nim zetknęli wiedzieli, że ciągle trzeba szukać ludzi, że nie wolno siedzieć, że trzeba wyruszać w drogę. On i ja byliśmy przeświadczeni, że jeśli w jakiejś miejscowości nie ma katolików, to jest nasza wina. Często nasze poszukiwania zaczynałyśmy na cmentarzach, tak jak to było w miasteczku Bychów, oczywiście na Mohylewsczyźnie. Wystarczyło pójść na cmentarz, aby zobaczyć mnóstwo polskich nazwisk, a żyjących krewnych spotykaliśmy tam 1 i 2 listopada, czyli we Wszystkich Świętych, w dni pamięci o zmarłych. Tak właśnie zaczynało się organizować parafię, od spotkań na cmentarzu, od rozmów i zaproszeń. W każdej miejscowości, w której musieliśmy zaczynać od zera, gromadzić wspólnotę, właśnie w ten sposób to robiliśmy. A jak inaczej szukać ludzi? W jaki sposób? A do czego ludzie byli najbardziej przywiązani? Do cmentarza, bo tam byli bliscy zmarli. To był taki swoisty patent, chwyt ewangelizacyjny, który bardzo ułatwiał pracę, bo trudno byłoby chodzić od domu do domu i pukać. Dzisiaj to jest nawet surowo zabronione, aby nie zostać posądzonym o narzucanie się ze swoją wiarą.

Jakim echem odbiło się to wydarzenie festiwalu „Magutny Boża” na Białorusi?

Festiwal, to wydarzenie, które budziło entuzjazm wiary, ducha młodości i miłości do Boga, więc, miało to ogromne znaczenie dla całej Białorusi. Ks. Władysław Blin organizował, zbierał na to dzieło środki finansowe, a ja pozostając na miejscu, chodziłem do władz, prosić o pozwolenie na przeprowadzenie takiego przedsięwzięcia. Pamiętam, że od ówczesnego gubernatora obwodu mohylewskiego nie otrzymałem wsparcia, a jedynie neutralną odpowiedź, który mówił, że wybieramy się z motyką na słońce, wymyślając taki festiwal. „A skąd weźmiecie środki, a skąd weźmiecie pieniądze?” – pytał. To były niełatwe początki, bo niby zwracano kościoły, ale ciągle próbowano na różne sposoby odciągnąć ludzi od Kościoła katolickiego. Władze nie przeszkadzały, ale i nie sprzyjały odradzaniu się Kościoła, bo za tym szła pozorna wolność religijna, ale w ten sposób budowała się niezależność społeczeństwa i państwa. Na Białorusi wszystko przybierało różne barwy. Wśród rządzących byli zjadliwi wrogowie, ale i też ludzie wierzący, którzy pomagali nam po cichu albo czasami otwarcie. Wtedy w ludziach był ogromny entuzjazm, który czasami udzielał się przedstawicielom władzy. Jeden z zastępców samego mera, pomagał nam w organizacji, a pani z wydziału kultury przy „gorispolkomie”, czyli osoba odpowiedzialna za dział kultury przy Radzie Miasta, była aktywnym członkiem komitetu organizacyjnego. W festiwalu wzięła udział prawdziwa elita kulturalna Białorusi. Środowisko muzyczne było reprezentowane przez konserwatorium Akademii Muzyki w Mińsku oraz college muzyczny. Wystąpiło też wiele chórów prawosławnych i katolickich, protestanckich z Białorusi i z Polski.

Inne dyscypliny artystyczne też miały swoich przedstawicieli. Byli to graficy, fotografowie i dziennikarze. W organizację festiwalu zaangażowali się również zwyczajni parafianie. W mieście zapanowało popołudnie ruszenie. Młodzież jako wolontariusze opiekowali się



gospodarstwa. Aby ci nie czuli się zagubieni, czy zaniedbani. Pokazywali im nie tylko ich miejsca zakwaterowania, ale i miasto. W tym czasie transport w mieście był darmowy oraz na czas festiwalu otrzymaliśmy bezpłatnie do swojej dyspozycji miejsca koncertowe, a liczne placówki otworzyły swoje podwoje dla pozostałych artystów. Znamienne było to, że pierwszy koncert otwarcia był w Domu Kultury – „Dwariec pionierów”, czyli „Dworzec Pionierów” - sowieckiej organizacji.

Festiwal był wielkim sukcesem, co nie podobало się „twardej komunistycznej zakatce”, czyli ludziom z poprzedniej epoki. Bardzo często występowali przeciwko nam i też nie chcieli w niczym pomóc. Na szczęście wokół nas było wielu dobrych ludzi, więc mogliśmy sobie poradzić. Mieliśmy pomoc żywnościową, więc nasze stołówki miały dobre zaopatrzenie, co pozwoliło zorganizować normalne wyżywienie.

Podczas festiwalu gościliśmy bardzo dużo młodzieży, która przyjechała z Ukrainy, Łotwy, z Holandii i był też zespół, z Polski i z Niemiec. Z Francji natomiast była podwójna grupa ludzi, tzn. uczestnicy i goście, żądni artystycznych wrażeń. Z Polski mieliśmy dodatkowe wsparcie, w osobie ówczesnej Marszałek Sejmu p. Alicji Grzeškowiak, która uczestniczyła w otwarciu Festiwalu i cały czas nas wspierała.

W czasie trwania imprezy panowała tak wspaniała atmosfera, jaką można było sobie tylko wymarzyć. Wszyscy uczestnicy byli bardzo pozytywnie nastroszeni i otwarci na działanie. W związku z tym, że takie przedsięwzięcie robiliśmy pierwszy raz, to czasami musieliśmy improwizować. Można więc śmiało powiedzieć, że spontaniczność opanowaliśmy do perfekcji. Nie wszystko potrafiliśmy przewidzieć dokładnie i dlatego pomoc, i zrozumienie wielu, pomogło nie tylko przy samej organizacji, ale pozwoliło utrzymać wysoki poziom wydarzeń artystycznych. Na przykład z telewizji białoruskiej pani Zinaida Bondarienko reżyserowała całe koncerty, podczas których czasami dokonywały się zmiany, ale bez szkody dla artystycznego przesłania. Mahutny Boża był zaplanowany, a jednocześnie tworzył się w trakcie trwania, doświadczenie zdobywaliśmy na bieżąco. Festiwal miał też wymiar ekumeniczny, tzn. budował mosty między Kościołem katolickim i Cerkwią prawosławną i innymi wyznaniami. Ze smutkiem muszę powiedzieć, że zaistniał chyba za wcześnie, bo niektórzy prawosławni występowali przeciwko nam. Z czasem nasze działania dały efekt, który chcieliśmy wtedy osiągnąć i dzisiaj nasze relacje są poprawne.

Wtedy chóry prawosławne uczestniczyły „oddolnie” i to w większej ilości niż chóry katolickie. Zresztą w tamtym czasie naszych chórów było bardzo mało. Prawie nikt nie słyszał, że coś się dzieje w Mohylewie.

Festiwal zdobywał autorytet i sławę, która z czasem przekroczyła granice Białorusi. W roku 2000, podczas EXPO w Niemczech, ambasada białoruska Mahutny Boża w książeczce reklamowej nasz festiwal przedstawiła jako największe wydarzenie kulturalne w kraju. Oczywiście nie poinformowano nas o tym oficjalnie, tylko moi przyjaciele z Bonn, z parafii, z którą się przyjaźniliśmy, opowiedziała nam o tym. Mimo to był to dla mnie ogromny honor, bo zobaczyłem docenienie wielkiego trudu i pracy wszystkich organizatorów i uczestników.

Festiwal zdobył sobie wyjątkowe miejsce na Białorusi. Po upadku żelaznej kurtyny przyczynił się do ukazania piękna ludzi tutaj żyjących i ich kultury - jakie jest księdza zdanie?



~~PAWŁA~~ Nie na tej przestrzeni postsowieckiej jeszcze żaden Kościół, mam na myśli Kościół katolicki w poszczególnych republikach byłego ZSRR jak Ukraina, Rosja, Litwa, Łotwa, Białoruś, nie dokonał takiego przewrotu kulturalno-religijnego. Kościół katolicki na Białorusi był pierwszym inicjatorem wydarzenia na tak szeroką skalę. Oczywiście, na początku nas też nikt nie rozumiał. Nawet ks. abp Kazimierz Świątek trochę się obawiał, że będzie zamęt, który może przynieść więcej szkód niż pożytku. Trochę tak było. Były próby wykorzystywania politycznie tego festiwalu, a szczególnie przez białoruskie grupy nacjonalistyczne. Osobiście ja też miałem realne kłopoty i gdyby nie ksiądz arcybiskup kardynał Świątek, to może już nie byłoby mnie na Białorusi. Arcybiskup wysłał mnie wtedy do Fatimy, w grupie 50 księży. Fatima mnie uratowała, bo kiedy mnie nie było, to wszystko trochę przycichło. Do Festiwalu wróciłem dopiero w 2000 roku.

Kolejna rzecz, to prestiż jaki Festiwal „Mahutny Boża” zdobył. W Polsce porównywalnym wydarzeniem jest festiwal muzyki prawosławnej w Hajnówce.

Zostałem zaproszony na to wydarzenie i niezwykle promieniłem, kiedy w prezentacji osiągnięć poszczególnych chórów, zaznaczało się, że był uczestnikiem festiwalu „Mahutny Boża”. Co więcej, laureaci naszego festiwalu zwyciężali w Hajnówce. To wielka sprawa.

Pierwszy Mahutny Boża z 1993 roku był bardzo młodzieżowym festiwalem, a z czasem stawał się coraz bardziej klasyczny. Owszem, później też młodzież uczestniczyła, ale ich twórczość powoli stawała się dodatkiem do muzyki klasycznej. Ostatecznie Festiwal stał się festiwalem muzyki klasycznej. Dzisiaj ma ogromne problemy finansowe, dlatego większą rolę przejęło państwo. Początkowo ta współpraca Kościoła z państwem miała charakter neutralny i mieliśmy jakąś niezależność. W chwili obecnej państwo przejęło całkowicie Festiwal i jest jego jedynym organizatorem, a więc to ono dokonuje wyboru w strefie artystycznej.

Pierwszy, krótki pobyt w Mohylewie cechowała bardzo dynamiczna działalność, jakie jeszcze zadania pełnił ksiądz?

-

Do moich zadań należała praca z młodzieżą i to się udawało. Młodzi do mnie lgnęli, więc udało się zorganizować dużo różnych grup. Owszem, próbowaliśmy przenosić doświadczenia z Polski i chociaż nie wszystko dało się zaszczepić, to parę zasług mamy, które zapisały się w historii parafii. Zaczęliśmy od rekolekcji w stylu oazowym. Już w 1992 roku pojawiły się pierwsze Kręgi Kościoła Domowego i Ruch Światło- Życie. Były też próby pielgrzymek, wycieczek rowerowych lub pieszych po Białorusi lub do konkretnych miejsc kultu. Seminaria odnotowywały wiele powołań zarówno zakonnych, diecezjalnych i u sióstr, też było sporo kandydatek. Jednak czas pokazał, że niewielu z nich zostało.

Pamiętam, że w najlepszym okresie, do katedry w Mohylewie przychodziło około 2000 dzieci i młodzieży na katechezę. Tak, w archiwum są dzienniki, które to potwierdzają i może kiedyś ktoś to opisie dokładnie. Aby móc efektywnie pracować z tak dużą ilością osób, nie tylko niezbędne były pomieszczenia, które były, ale przede wszystkim potrzebowaliśmy katechetów.

To, co mówiliśmy na początku, że tamta Białoruś to były to tereny misyjne, więc musieli być to ludzie gotowi do poświęceń. Takich przebojowych i oddanych swojej pracy ludzi mogłem znaleźć wśród Sióstr Zakonnych. Udało mi się zaangażować i wciągnąć do tej pracy s. Jadwigę od Sióstr od Aniołów, która potem, kiedy ja odszedłem jako duszpasterz z Mohylewa do Bobrujska, była głównie dowodzącym w sferze katechizacji i pracy oazowej, szczególnie w kręgach rodzin Kościoła domowego. Współpraca z Siostrami Misjonarkami św. Rodziny zaowocowała Legionami Maryi oraz nauką religii w przedszkolach i nawet w szkołach. Jest to rzecz



RAWLA
mówił, że w tamtych trudnych przecież czasach można było prowadzić katechazę, a dzisiaj nie.

Bobrujsk.

Gdzie został ksiądz skierowany po niedługiej pracy w Mohylewie?

15 marca 1993 r. od ks. abp. Kazimierza Świątko otrzymałem swój pierwszy dekret na proboszcza parafii Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w Bobrujsku. Tam przede mną, przez trzy lata pracował ks. Andrzej Szczęśny z archidiecezji gnieźnieńskiej. Był on księdzem z neokatechumenatu i założył wspólnotę neokatechumenalną.

W takiej odzyskanej parafii stare ścierało się z nowym i początkowo parafia w Bobrujsku była podzielona. Mało ludzi chodziło do kościoła. Pamiętam pierwsze Msze św., na których było niewiele osób, może około 30. To była garstka jak na możliwości tego 250-tysięcznego miasta. I tutaj przydały się moje doświadczenia pracy duszpasterskiej, które miałem z Polski. Zacząłem spokojnie. Odwiedzałem rodziny, chodziłem po kołędzie. Powoli poznawałem swoich parafian, ich codzienności, ich radości i smutki. Zaczęła nawiązywać się między nami pewna sympatia, akceptacja, co pozwoliło wprowadzić troszeczkę inne, nieznane im metody duszpasterstwa. Dla każdego człowieka miałem bardzo pozytywne nastawienie. A jednocześnie moje obiektywne i uczciwe podejście do zwaśnionych grup pozwoliło mi na pogodzenie i zjednoczenie ich. Gdy objąłem parafię, dzieci w kościele było mało. Pamiętam do Pierwszej Komunii św. moja pierwsza grupa, którą przygotowałem, liczyła zaledwie 13 dzieci. Dzisiaj mogę śmiało powiedzieć, że te wszystkie dzieci, są wierzącymi katolikami. Żadne z nich nie przepadło i nie zatraciło się. Później byłem jednym z pierwszych księży, który otrzymał personalną pomoc. Do Bobrujska przyjeżdżali księża, wikariusze, diakoni, a nawet jeden franciszkanin, który mieszkał u mnie na plebani przez trzy lata i bardzo dynamicznie pomagał. Co więcej u nas także odbywały się praktyki kleryckie. Tak to się wszystko zaczęło. Z czasem przybyły też Siostry i zaczynało się odczuwać efekty pracy zespołowej. Było już coraz lepiej i łatwiej. Nawet organistka była bardzo zaangażowana w pracę duszpasterską i pomagała na plebanii. We wspólne dzieło bardzo aktywnie włączali się również świeccy, pomagając przy katechezie i liturgii.

Jakie było wrażenie księdza, widząc, że do fasady kościoła przybudowany został czteropiętrowy budynek, jedyny przypadek na Białorusi z czasów ZSRR, który trwa do dzisiaj?

W ogóle to jest symbol, myślę całego Kościoła w ZSRR. Jeden z redaktorów, opisując Kościół na Białorusi w latach 90-tych, wykorzystał wtedy fotografię tej świątyni, bo to jest taki symbol, który mówi, co się stało z Kościołem w postsowieckich miastach i miasteczkach. Dzięki Bogu, że sam budynek się zachował, bo wewnątrz jest to śliczny kościół. Zresztą zawsze mówiłem swoim parafianom, że ta świątynia z zewnątrz nie musi zaciekać, ale wewnątrz musi do Pana Boga przyciągać.



Paweł w Bobrujsku wymagał gruntowniejszego remontu, był zawilgocony i zagrzybiony, nie był wymalowany wewnątrz i dodatkowo brakowało mu wyposażenia. Zrobiliśmy totalny remont. Udało się nam też uzupełnić braki w wyposażeniu i myślę, że efekt końcowy jest niezły. Z czasem kupiłem plebanię, która ułatwiła życie nie tylko księżom. Dla pracy katechetycznej z dziećmi i młodzieżą sprowadziłem Siostry Salezjanki.

Co prawda, nie jestem salezjaninem, ale ich duch, charyzmat bardzo mi się podobał. Patrzę z podziwem po dzień dzisiejszy na ich pracę. Siostry były bardzo oddane swojej działalności i widziałem, jak w praktyce realizują założenia św. Jana Bosko, który twierdził „.....chodzi o to, by odkryć załóżki dobrych skłonności i starać się je rozwijać...”. Swoją ciężką i wytrwałą pracą Siostry miały wpływ na wychowanie wielu młodych ludzi, którzy stali się dobrymi chrześcijanami i rzetelnymi obywatelami swojego kraju.

-
W tamtym czasie powstało sporo filialnych parafii, które były obsługiwane przez niewielu księży. Przeżywałem radość rodzenia nowych ośrodków duszpasterskich, jak św. Paweł, który również przeżywał taką radość u początków Kościoła. Na tak zwanym moim terenie, oficjalnie było nas tylko dwóch, ja i późniejszy bp Blin. Razem z ks. Blinem podzieliliśmy województwo na części i każdy z nas odpowiadał za konkretne parafie. Ja miałem 11 miejsc, parafii, które niekoniecznie były na terenie województwa mohylewskiego. Na przykład dojeżdżałem oprócz obwodu mohylewskiego do homelskiego i mińskiego. A co z miasteczkiem Oktiabrskij (obwód homelski) lub Sucin, czy Stare Drogi pod Stuckiem, należące do obwodu mińskiego?? Nie mogłem i nie chciałem odmówić. Zrezygnować, pozostawić ludzi bez Słowa Bożego byłoby niedopuszczalne. Powoli parafie dostawały swoich księży, jak ks. Jan Salamon, który prężnie budował kościoły w Oktiabrskim. Czekając na przybycie nowych księży, rozkręcałem też różne dzieła, bo miałem i mam taką radość tworzenia od nowa. I tak np., w Osipowiczach, rozpocząłem budowę kaplicy, którą doprowadziłem do zamknięcia pod dach, ale już nie wykończyłem. Zrobił to nowy gospodarz, franciszkanin o. Kosma. Kaplica ta służyła ludziom ponad dekadę, a teraz jest tam wybudowany piękny kościół pw. Miłosierdzia Bożego, w którym nadal pracują franciszkanie.

Praca na Białorusi w tamtych latach była prawdziwie misyjnym wyzwaniem. Komunizm zniszczył kościoły, życie parafialne, więc kiedy coś tworzyłem od początku, czy odtwarzałem, to czułem się jak św. Paweł Apostoł. Ja, tak jak On, miałem okazję widzieć, jak rodzi się jedność, które przekształca się we wspólnotę ludzi wierzących. Ci ludzie, tak jak pierwsi chrześcijanie, prawdziwie chłonili ogromną Bożą Moc. Ja jako ich ojciec duchowy kształtowałem ich, jak własne dzieci. Ludzie, którzy całkiem niedawno byli jeszcze ateistami, dawali wspaniałe, szczerze, żywe świadectwa oddania się Bogu. Była w nich moc jak u pierwszych chrześcijan.

Pamiętam, jak jedna kobieta z mojej parafii żaliła się, że jej mąż pije. Myślałem, jak go przyciągnąć do kościoła? Pytam się: „A kim on jest?”, „A elektryk”. Miałem już zadanie dla jej męża. „Widzisz, mnie elektryk jest potrzebny. Trzeba zrobić porządek, całą elektrykę w kościele należy poprawić i zrobić, jak się należy”. Wkrótce przyszedł pierwszy raz. Wziął ze sobą jakąś taką koślawą drabinę, która zjechała po kolumnie i pan elektryk złamał rękę. Myślałem, że już przestanie przychodzić do kościoła, ale on szczęśliwie odczytał to jako znak Boży. Może tak było, bo dzisiaj jest to bardzo gorliwy i wierzący człowiek. Patrząc na oddanie się Bogu tych ludzi, moja wiara rosła razem z nimi. Od tych ludzi, którzy się świeżo nawrócili, uczyłem się jeszcze większej wiary. Dlatego konwertytów bardzo kocham i lubię, bo to są szczerzy, szczęśliwi chrześcijanie.



RAWA
Ci, którzy tradycyjnie żyli w kościele, ci którzy otrzymali wiarę od swoich dziadków, babć, mamy, taty, to czasami nie cenią tej wiary. Rutyna odbiera im moc, którą mają ci, którzy nie byli wierzącymi, a się nimi stali. To siła, którą emanują parafianie sprawia, a kościół się rozwija i napędza życie wspólnoty, która rośnie, nawzajem się wychowuje, czyli po prostu apostołuje.

Bobrujsk to była Gubernia Mińska, dzisiaj w obwodzie mohylewskim, zawsze był to obszar bardziej tradycyjnie katolicki, niż prawosławny. Do rozdziału Rzeczypospolitej na terenie dzisiejszej Białorusi jedyna prawosławna diecezja była w Mohylewie. Nie można więc, zgodzić się ze stwierdzeniem, które krąży w przestrzeni publicznej, że te ziemie są „kanoniczne terytoriami prawosławia”. To jest nieprawda. Statystyki pokazywały odwrotną sytuację: do rozdziału Rzeczypospolitej, czyli za czasów I Rzeczypospolitej, wypadało 80% unitów, 15 % rzymskokatolików, a pozostali to Żydzi, prawosławni i protestanci i muzulmanie. (Aleś Żłutka „Punkciry Vialikaha Szlahu”).

Bobrujsk przed wojną był 30-tysięcznym niewielkim miasteczkiem. Po wojnie rozrosło się, dzisiaj około 250 tysięcznym. Powstały tam różne zakłady i fabryki, więc napływała ludność w poszukiwaniu pracy.

„Bobrujsk, to była stolica dla Żydów w Białorusi, szczególnie chasydów.”

Bobrujsk – tak, owszem. Kiedy ja tam pracowałem byłem świadkiem wielu wyjazdów Żydów do Izraela i do Ameryki. Wpływy ludności żydowskiej czuje się tu do tej pory. Na pewno nie jest to zła sytuacja, a wręcz odwrotnie. To jest bogactwo religijno - kulturowe Bobrujska. Żydowskie mieszkańcy mieli duży wpływ na tutejszych mieszkańców, przekazując swoją uczciwość i rzetelność. O obecności Żydów przed wojną mówi też architektura bardzo wielu budynków. W parafiach w Mohylewie i w Bobrujsku gro katolików jest pochodzenia żydowskiego.

Wpływ był więc, wzajemny. To było bogate, dobre współformowanie się społeczeństwa. W czasach zaborów Żydzi z terenów I Rzeczypospolitej zachowali kulturę polską, pielęgnując ją choćby w literaturze. Książki były pisane w języku hebrajskim- jidysz, ale również w języku polskim, ale nigdy po rosyjsku. Taka ciekawostka. Kiedyś w Bobrujsku kupiłem dom, który stał się plebanią od pewnej rodziny. Nna strychu znalazłem książki kucharskie wydane po hebrajsku i po polsku. Rodzina ta zajmowała dom, gdzie kiedyś mieszkali Żydzi i pozostały po nich pamiątki. Wśród tych rzeczy, były i książki, i różne przedmioty religijne, takie jak: pas oplatający rękę- Tefilin, dwa czarne skórzane pudełeczka wykonane z jednego kawałka skóry koszerne zwierzęcia, w których znajdują się cztery ustępy Tory, Talit lub tałas – prostokątna chusta nakładana przez żydów na głowę bądź ramiona podczas modlitwy, czy świeczniki. Żadne z tych rzeczy nie były zniszczone, tylko zmagazynowane w garażu na strychu i czekały na takiego jak ja, który potrafił się tym odpowiednio zająć. Chcę jeszcze raz podkreślić, że na bogactwo kulturowe tego miasteczka miała wpływ ludność żydowska i katolicy. Tam gro ludzi, mimo pochodzenia żydowskiego, było wychowanych tradycyjnie po katolicku.

Osipowicze.



PAWŁA, mocna katolicka wspólnota. Kolejna interesująca historia jest związana z tym miejscem. Jeszcze przez rewolucję ludzie zgromadzili materiał na budowę kościoła. Przychodzą bolszewicy, którzy nie tylko nie pozwolili zbudować świątyni, ale jeszcze zabrano cegły, z których zostaje wybudowana szkoła żydowska. Katolicy oczywiście nie odpuścili i swoimi sposobami zaczęli walczyć. Rozpoczęli wieloletnią modlitwę o przywrócenie Kościoła. W tej wspólnocie była piękna tradycja. Kiedy nie było księdza, były grupy modlitewne, które adorowały duchowo Pana Jezusa Eucharystycznego w Najświętszym Sakramencie. Każdy z członków miał swoją godzinę dyżuru modlitewnego w ciągu całej doby. Ta tradycja trwała, aż do odzyskania wolności religijnej za czasów Gorbaczowa. I tak wymodlili sobie Kościół, w którym pracują ojcowie franciszkanie.

Na tym terenie jest także miejscowość Kazimirowo, które razem z Osipowiczami i okolicznymi wioskami w czasie okupacji niemieckiej, stanowiło mocne zaplecze partyzanckie. Niemcy rozpoczęli regularną eksterminację tej ludności w odwecie za pomoc partyzantom. Były to okrutne mordy. Potrafili zebrać ludzi do jednego pomieszczenia, jakiejś obory lub stodoły, podpalić i żywcem spalić. W Kazimierze, na cmentarzu jest drewniany kościółek. Mieszkańcy dowiedzieli się, co ich czeka i wystraszeni udali się do niego, gdzie żarliwie się modlili. Kiedy pojawili się Niemcy, wyszli w procesji z obrazem św. Józefa i stanęli przed swoimi oprawcami, modląc się dalej. Kiedy niemieccy żołnierze zobaczyli tych ludzi z tak głęboką wiarą, rozplakali się i odezwali się do nich takimi słowami: „Uciekajcie. My mamy rozkaz zniszczenia was”. Obecnie większość dzisiejszych mieszkańców są potomkami tamtych ludzi. Pozostają świadkami silnej i niezachwianej wiary.

Mohylew 2000.

Ksiądz stał się kontynuatorem podjętej pracy duszpasterskiej w Mohylewie przez ks. Władysława Blina, późniejszego biskupa, jakie nowe wyzwania czekały na księdza w Mohylewie?

Wtedy nie wszystko jeszcze było odnowione. Dzisiaj też jest dużo pracy w katedrze. Tak jak wszędzie, i tu pojawiają się problemy; niewiele pomieszczeń do katechizacji, a w dodatku o bardzo małej powierzchni. Trzeba więc było coś dokupić. Udało się to zrobić. Kupiliśmy dom o powierzchni ponad 3 tys. m², który służy teraz jako centrum pastoralne w Mohylewie. To duże miasto, ok. 400 tys. mieszkańców, więc aby duszpasterstwo mogło się spokojnie rozwijać potrzebny jest ośrodek zaspakajający mnóstwo potrzeb. Takie miejsce jest niezbędne z wielu powodów. W Mohylewie swoją siedzibę ma biskup pomocniczy. Osobiście byłem przez wiele lat odpowiedzialny za opiekę nad młodymi księżmi, którzy na początku swojej drogi kapłańskiej bardzo potrzebują pomocy materialnej i profesjonalnej rady jako przyszli misjonarze. Arcybiskup oczekiwał ode mnie, jako dziekana, szerokich działań obejmujących całe województwo. Na przykład w Białyniczach nie ma jeszcze kościoła, więc kupiłem dom, w którym ma być zorganizowana kaplica i mieszkanie dla księdza. Organizując życie ewangeliczne w moim dekanacie, równolegle musiałem i chciałem zadbać o zaplecze materialne, bo bez tego można zgubić wiele istotnych rzeczy. W tamtych czasach, w latach 90-tych było nas niewielu i niestety mimo naszego wielkiego zaangażowania, straciliśmy dość dużo ludzi. Wielu uciekło do sekt, czy do budzących wiele wątpliwości kościołów protestanckich, których namnożyło się jak grzybów po deszczu. Bardzo ubolewam nad tym, ale nie byliśmy w stanie objąć opieką każdego. Po prostu brakowało kadry. Na całe województwo było tylko dwóch księży. Z Polski przyjeżdżali do pomocy księża, ale bez



Pawła. W ich zaplecza gospodarczego niewielu umiało długo sprostać postawionemu przed nimi zadaniu. Byli i tacy, jak ks. Zygmunt Chodosowski, który ostatnie lata swojego życia poświęcił na niezwykle aktywną pracę. On sam zrobił tyle, że niejednego przez całe swoje kapłaństwo nie potrafiłby tyle uczynić. Ludzie w Mohylewie, do tej pory, wspominają go jak swojego świętego.

Kiedy patrzę z perspektywy lat 90-tych, to dzisiejszy otaczający nas świat, który stał się jedną, globalną wioską, ma ogromny i niestety negatywny wpływ na nasze społeczeństwo. Na nieugruntowany duchowo teren, z zachodniego świata inwazyjnie wdziera się ideologia neomarksistowska, rozbudzająca te same dążenia i pragnienia człowieka, jakie występują na całym świecie, czyli konsumpcjonizm. Ponadto, ta zgubna ewolucja nastąpiła w kierunku szkoły świeckiej, państwa świeckiego, które popiera jedyną „religię”- ateizm, reskularyzacja i zeświecczenie. Okazało się, że nie potrzeba było jakiegoś wielkiego wysiłku, żeby przekształcić światopogląd młodszego pokolenia, dlatego tym bardziej nie możemy ustawać w naszej pracy.

Właśnie dzięki naszemu festiwalowi, Mahutny Boża, chyba to był 15 festiwal – zorganizowaliśmy tzw. sesję naukową, która dokonywała pewnego oglądu Kościoła na Białorusi. Pamiętam wykład pani socjolog, która zrobiła badania religijności Białorusinów. Okazało się, że na Białorusi jest tylko 17% religijnych ludzi, którzy w każdą niedzielę przychodzą do Kościoła, czy cerkwi, zborów na niedzielne nabożeństwa, a pozostali to prawie sami ateści. Dlatego nie można mówić, że jest to kraj prawosławny, czy katolicki. Zbory protestanckie też nie przyczyniają się do wielkiego rozkwitu wiary w człowieku, bo ich działalność bywa czasami mocno kontrowersyjna. Kiedyś w radiu Watykan opowiadałem taką historię.

Kliczew to niewielka miejscowość w rejonie Bobrujska, gdzie nie było księdza na stałe, tylko dojeżdżałem raz w tygodniu na Mszę św. Kiedyś po Mszy św. wracam samochodem, na skraju miasteczka przy budce GAI- policji drogowej zatrzymuje mnie starsza kobieta. Wsiadła do samochodu i mówi: „Haj Bog daść tabie zdarowia, dietaczka, szto ty zatrymausia, astanawiusia”. Jak ona tak pobożnie zaczęła mówić, to ja zapytałem: „Babciu, a kto wy jesteście? Prawosławna? Katolicka?”. A ona na to: „Hto heta takije katoliki.”. Opowiada dalej, że do jej wioski przyjeżdżają sektanci, a mówiła o baptystach. Oni kazali pozdejmować krzyże, obrazy, a nawet zakazują robić znak krzyża. Jej to się mocno nie podoba. Ja mówię: „Babciu, a jak was mama nauczyła?” Wtedy ona odzywa się po polsku: „W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen”. Mówię: „Babciu, wy jesteście katolicka?” Ona na to: „Na nas mówili „szlachta”

Tak więc miałem okazję zawieść tę „szlachciankę” do wioski, gdzie mieszkała. To spotkanie pomogło mi zrozumieć parę istotnych rzeczy. Po pierwsze: że długotrwały czas ateizmu, agresywna walka systemu sowieckiego, przyczyniły się do tego, że ludzie stracili religijność, wiarę, a nawet zapomnieli, kim byli ich przodkowie. Po drugie: tych, którzy się do niego przyznawali, nazywali „szlachtą”, bo określenie to niosła ze sobą wartości, które kształtowały ducha, ale i też wpływały na osobowość samego człowieka, który stawał się wewnętrznie wolny. Moja pasażerka, ta Babcia, uprzytomniła mi, że jeśli nie ma kontaktu z kościołem i trwają lata walki, prześladowań, to wiarę można bardzo łatwo wykorzenić. I kiedy przychodzą tzw. „sektanci” każący rzucić ze ściany krzyż, to tak się dzieje. Z drugiej jednak strony jeśli na odległe tereny, na „koniec świata”, oddzielonego przez rzeki i bagna, dociera kapłan, to wiara ma szansę przetrwać, ale we współpracy z ludźmi. Babcia poproszona o przeżegnanie się, zrobiła to czystą polszczyzną, która była choćby przez modlitwę pielęgnowana w domach. To właśnie rodziny stały się naszym pierwszym gruntem do apostołowania i to wzbudzało, podtrzymywało nasz entuzjazm do pracy. Wiele rodzin, mimo prześladowań, zachowały wiarę, a ci „szlachetni” rodzice przekazali wiarę następnemu pokoleniu. Nie można więc, tracić nadziei i nie wolno nam kapłanom nigdy zostawiać nawet



namniejszego skrawka ziemi bez Słowa Bożego.

Ksiądz kontynuuje tę pomoc będąc dyrektorem Centrum Pastoralnego przy Konferencji Katolickich Biskupów Białorusi, jakie dzisiaj są największe potrzeby?

Centrum Pastoralne ma też za zadanie wspomagać biskupów i kapłanów, a także ich prace. Współpracujemy z Renovabis - niemiecką organizacją charytatywną, aby lepiej wspomagać projekty duszpasterskie w Kościele na Białorusi. Gdy odwiedzam różne parafie, cieszę się, że widzę wspaniałych księży, którzy umieją współpracować z ludźmi. Jednak nie są to już miejscowi, młodzi i gorliwi księża. Nadal pracują na tej niwie bardzo oddani swojej pracy kapłani z Polski. Za każdym razem boleśnie przeżywam odejście kapłana z powodu nie przedłużenia wiz przez Białoruś. Pamiętam bardzo żarliwego proboszcza parafii Lebedzewo, którego wydano z Białorusi. Prowadziłem u niego w parafii rekolekcje. Bardzo oddany kapłan. Pracował pięknie. Włożył wiele serca w działania duszpasterskie i w rozwój materialny kościoła. Dobrze pamiętam ks. Grzegorza Bolesta, z archidiecezji białostockiej. Jesienią poprzedniego roku władze białoruskie nie przedłużyły mu rejestracji. Parafianie bardzo dobrze i z wielkim szacunkiem go wspominają. Mimo że go już nie ma wśród nich, to oni nadal wspominają go za jego gorliwość, za miłość do ludzi; po prostu za nim tęsknią. Łatwo daje się zauważyć, że władza atakuje, prześladowa i w końcu usuwa tych najbardziej gorliwych i zaangażowanych kapłanów. Takich oddanych Kościołowi i ludziom na przestrzeni nie tylko ostatnich lat, ale i też już w latach 90-tych, z granic Białorusi wydano wielu. To są właśnie te żywe pomniki, dzięki którym rozwijał się tu Kościół.

Oficjalnie na Białorusi pomaga Zespół Pomocy Kościołowi na Wschodzie, Renovabis, Kirche in Not i kilka innych fundacji. Jednak to Kościół w Polsce pomaga najwięcej. Nie chodzi tu tylko o pomoc personalną, która jest niezwykle istotna, w osobach księży i Sióstr Zakonnych, ale z Polski idą ogromne materialne środki, których nikt nie potrafi przeliczyć. W Polsce w drugą niedzielę Adwentu ogłaszana jest zbiórka na potrzeby Kościoła na Wschodzie. Ofiarodawcy, czyli polscy parafianie hojnie wspierają tę kwestę, ale nie tylko. Kapłani często sami przyjeżdżają do zaprzyjaźnionych parafii i proszą o wsparcie. Jest to taki sposób żebraczy, który porusza serca polskich katolików. Zebrane środki pozwalają nam tu na Wschodzie trwać, tak na co dzień, ale i też inwestujemy je w kolejne Boże dzieła. Na przykład nie byłoby w Słucku klasztoru, gdyby ojcowie nie zebrali w Polsce. O. Aleksy nie dostał nigdy nic. On zawsze sam zbierał potrzebne środki. W ten sposób wybudował kościoły w takich miejscowościach jak: Słuck, Soligorsk, Lubań, Kleck, Stare Drogi. Łatwo policzyć - pięć kościołów i jeden ksiądz. Nadal są parafie, np. na Witebszczyźnie, Mohylewszczyźnie, gdzie ciągle potrzebna jest pomoc. Dotąd myślałem, że na Grodzieńszczyźnie parafie są stabilne, ale się myliłem. Tam też są wspólnoty, którym trzeba bardzo pomagać. Pełniąc funkcję dyrektora pastoralnego, widzę dokładniej potrzeby Kościoła na Białorusi, który jest przepiękny, ale ciągle potrzebuje wsparcia. Cieszę się bardzo, że na Grodzieńszczyźnie powstają domy rekolekcyjne, czyli miejsca, gdzie można prowadzić formację duchową. Wkrótce też tam będzie pierwszy katolicki dom dla emerytów, czyli miejsce gdzie księża będą mogli odpocząć na emeryturze, czy ze względu na stan zdrowia. Na Grodzieńszczyźnie jest największa liczba księży na Białorusi, co nie znaczy, że jest wystarczająco dużo kapłanów. Księża nadal obsługują po kilka parafii, gdzie swobodnie mogłoby być jeszcze kilku księży.

Zawsze dziękowałem i dziękuję Kościołowi w Polsce za zbiórki w drugą niedzielę Adwentu. Z całego serca też dziękuję za każdą, nawet najmniejszą kwestę, która została zorganizowana za sprawą prywatnych kontaktów przez kapłanów i siostry. Głośno mówię, że



my też powinniśmy pomóc braciom ze Wschodu. Przypomnę jeszcze raz, że nasza diecezja w czasie II wojny światowej najbardziej ucierpiała ze wszystkich diecezji w Polsce. Połowę duchowieństwa na czele z biskupem pomocniczym Niemcy wymordowali w Dachau. Po wojnie na to miejsce przyjechali księża ze Wschodu. W czasie Mszy św. Jubileuszowej z okazji 25-lecia mojego kapłaństwa powiedziałem, że moją posługę, swoje życie kapłańskie, ofiarowałem, jako dziękczynienie Bogu za tych kapłanów, którzy przyszli do mojej diecezji ze Wschodu. Moi ostatni proboszczowie - jeden spod Lwowa, drugi z samego Lwowa przekazali mi miłość do Kościoła na Wschodzie. W swoim powołaniu kapłańskim bez większego trudu odczułem powołanie misyjne. Jestem głęboko przekonany, że ta misyjność powinna być w każdym kapłanie, tak jak np. u bp. Władysława Błina. Cała Jego działalność, to misyjne powołanie... Papież Jan Paweł II podkreślał to mocno w swojej adhortacji „Pastores dabo vobis” – „misyjność, to być jak Chrystus, którego serce było zatroskane o rzesze ludzi, szukanie zaginionych owiec, szukanie ludzi, to zadanie dla każdego kapłana”.

Na początku byłem trochę zdenerwowany, że z aktywnego życia przechodzę do życia „w biurze”. Teraz jednak dziękuję Panu Bogu, za to nowe doświadczenie, kolejne wyzwanie, bo wizytacje, które składam, pozwalają mi na lepsze rozeznanie sytuacyjne. Podczas różnych spotkań z księżmi na spotkaniach diecezjalnych, w parafiach, czy indywidualnych, mówię głośno o radości z pracy na Wschodzie, która pozwoliła mi poznać wielu wspaniałych ludzi oraz cudowne miejsca, takie jak Grodzieńszczyzna. Odkrywam ją coraz bardziej i jej żywy piękny Kościół, który, o czym wcześniej wspominałem, nadal potrzebuje pomocy. To nie jest tak, że tylko Mohylewyszczyna ma te problemy czy Witebszczyna, czy Gomelszczyna, czy Pińszczyna, czy nawet pod Brześciem, ale na każdym tutaj terenie są nadal parafie, które można nazwać misyjne. Są to miejsca, które potrzebują specjalnego prowadzenia duszpasterstwa, aby przyciągać ludzi do wiary. Wiele lat spędziłem na Mohylowszczyźnie, bo ponad 23 lata. Ten czas dał mi ogromne doświadczenie Kościoła misyjnego. Być posłanym, aż po krańce, gdziekolwiek pośle Bóg. Moja nowa praca w Centrum Pastoralnym pozwoliła mi też odkryć gorliwych kapłanów, którzy już są stąd. Jest to pokolenie wychowane przez kapłanów i siostry zakonne z Polski. To bardzo raduje, bo po prostu widzisz owoce wieloletniej posługi ludzi Kościoła. Widzi się, jak rośnie, jak dojrzewa Kościół, Chrystusowe Żniwo i jak za jego sprawą stabilizuje się życie, normalne życie. Cieszę się ogromnie, jak osoby, które chrzciliem, poszły za głosem Boga, za głosem powołania. Tak jak siostra zakonna z Bobrujska, dominikanka s. Maksymiliana, czy mój ministrant, dzisiaj jest proboszczem w Mohylewie. Są to najpiękniejsze, namacalne rezultaty mojej pracy, które potwierdzają celowość naszych ludzi Kościoła. Kiedyś dawno temu, myślałem, że będzie cudownie, kiedy już ci, których się wychowało, będą naszymi następcami. I to się stało. Idą nowe pokolenia, które wychowały się w Kościele tworzonym lub odtwarzanym przez polskich misjonarzy. Ci młodzi ludzie weszli do Kościoła, przeszli katechizację. Dzisiaj już wchodzi w życie jako uformowani ludzie odpowiedzialni za Kościół. To jest ogromna nadzieja na przyszłość.

Nasza praca to również zaplecze materialne, czyli mnóstwo wybudowanych świątyń, a w nich różnorodne formacje wspólnotowe, takie jak: Nazaretańskie Rodziny, spotkania małżeńskie, Domowy Kościół, Legion Maryi, Matki w Modlitwie, Żywy Różaniec. Mimo tych wszystkich sukcesów jeszcze wiele pozostało do zrobienia. Moje parafialne wizytacje ukazują ogrom problemów, które nadal są. Siostry zakonne nadal pracują i żyją w ciężkich warunkach. One się nigdy nie skarżą, ale ja to widzę poprzez stół. Zawsze jestem godnie i dostojnie ugaszczany, ale bardzo skromnie. Siostry są za mało uposażone, zbyt skromnie opłacane, aby mogły żyć godziwie. Taka sytuacja może mieć negatywny wpływ na ich zdrowie, pracę i w końcu na sprawność w działaniach. Ktoś ze świeckich mi powiedział, że cały Kościół objawia się dopiero wtedy, kiedy w parafii są wszystkie formy życia. Czyli nie tylko rodzina, nie tylko zakon czy ksiądz, ale zakony żeńskie, męskie. I to jest ta cała pełnia powołań, pełnia służby. Taka formacja wzajemnie się wtedy uzupełnia i to wtedy Kościół naprawdę rośnie i rozkwita. Dlatego tutaj widzę, że trzeba się modlić, modlić o powołania, żeby było jak najwięcej.



~~PAWŁA~~ Działającemu, że mogę pracować na Wschodzie, mogłem zobaczyć, jak wielka i bogata była tutaj historia. Dane mi było po tej wielkiej historii Kościoła stąpać i powoli stawiać się jej częścią.

Ks. Mieczysław Małynicz

W mojej pracy zawsze sobie zdawałem sprawę, że chodzę po śladach księży, którzy przygotowywali grunt do naszej pracy. Do nich z pewnością należy ks. Mieczysław Małynicz. Jest on kolejnym przykładem nieustraszonego, wielkiego, świętego kapłana - misjonarza. Fenomen tego kapłana był widoczny w każdej niemal miejscowości czy wiosce. Kapłan ten zmarł w 1969 roku, ale Boże dzieło, które pozostawił przetrwało, dzięki temu mieliśmy do czego przyjeżdżać.

Ja osobiście ks. Małynicza nazywam apostołem Polesia, Stłuszczyny, Bobrujszczyzny, Mohylewszczyzny aż po Smoleńsk i Briańsk. Podziwiam go, za każdy krok, który wykonał, aby zawalczyć o człowieka. Jestem pełen podziwu dla jego pracy apostołskiej. Bez samochodu docierał do każdego zakątka, gdziekolwiek się udał. To przykład kapłana, który nieco wyprzedził Sobór Watykański II. Korzystał w swojej pracy z pomocy świeckich, świeckich apostołów, którzy mogli jeszcze dalej dojść niż kapłan, szczególnie w latach prześladowań, pracą w konspiracji. Miał zorganizowaną siatkę tercjarzy franciszkańskich, czyli III Zakon św. Franciszka, utworzony, a następnie szkolony i formowany przez ks. Małynicza. Członkami tego zakonu byli ludzie świeccy, którzy nie mogli zostać zakonnikami, bo mieli swoje doświadczenia i rodziny, ale bardzo pragnęli służyć Bogu. Członkowie III Zakonu to siatka wyszkolonych i rozproszonych po terenie katechetów, którzy katechizowali, przygotowywali ludzi do sakramentów św., modlili się z nimi i pielęgowali w nich ducha modlitwy, a nawet prowadzili pogrzeby. Tercjusze mieli wiele pomysłów na ewangelizację. Przy pomocy odpowiedniej matrycy wybijali medaliki z łyżek aluminiowych, sami robili różańce, a także przepisywali modlitewniki, i co ciekawe, polskie pieśni były zapisywane cyrylicą.

Ksiądz Małynicz przyjeżdżał na przygotowany katechetycznie i kerygmaticznie teren, który był już rozmodlony, przygotowany i bez przeszkód duchowych mógł udzielić potrzebne sakramenty i odprawić Msze św.. Wszyscy jednak musieli być bardzo ostrożni. Działali w konspiracji, bo jak wiadomo groziły za to srogie kary, łącznie z łagami. Często zmieniali miejsca swoich spotkań, ale na szczęście ludzie dostawali wszystko to, na co czekali. Były śluby, chrzty, spowiedź i na koniec Msza św. Sam ksiądz Mieczysław został zdekonspirowany, a następnie wielokrotnie karany finansowo przez sądy. Wierni wysyłali przekazami małe sumy pieniędzy na poczet zasądzonych kar finansowych. Miejsce Eucharystii i nabożeństw zawsze zmieniano, aby szpiegowie nie mogli wykryć, gdzie wierni się spotykają na modlitwie i sprawowaniu liturgii.

Tak samo docierali do innych miejsc, gdziekolwiek byli katolicy, ze swoją posługą księża z Litwy przystani przez Biskupa. Odcisnęli swój ślad w Mohylewie czy w Bobrujsku. Śmiało mogę powiedzieć, że cała Mohylewszczyzna została ukształtowana przez tych kapłanów, którzy przybyli z seminarium w Kownie, w Rydze, ale i też przez tercjarzy św. Franciszka.

Dzięki pracy ks. Mieczysława Małynicza i jego grupki franciszkańskich „konspiratorów”, Bobrujsk i szerokie okolice Mohylewa, nie były zachwaszczonym, zniszczonym do końca ugorem. Dlatego w Bobrujsku, odrodziłem tercjarzy we współpracy z ojcami franciszkanami, oddając w ten sposób hołd mojemu wielkiemu poprzednikowi.

Ks. Zygmunt Chodosowski.



Ks. Zygmunt Chodosowski urodził się Rohaczowie, obecna Białoruś, w rodzinie właścicieli ziemskich. Ten fakt miał wpływ na późniejsze losy tej rodziny. Tak jak wiele takich rodzin, została ona rozkułaczona, czyli poddana okrutnym represjom przez nową komunistyczną władzę i w konsekwencji zostali wywiezieni na zsyłkę. Przed wywózką ks. Zygmunt skończył gimnazjum. Dalszą edukację kontynuował w Wilnie, która została przerwana przez wybuch rewolucji sowieckiej. Po powrocie z łagrów jako repatriant wyjechał do Polski, gdzie wstąpił do seminarium warmińskiego w Olsztynie. Po ukończeniu nauki pracował na Warmii. Z czasem diecezja warmińska została podzielona na dwie mniejsze - ełcką i łomżyńską. Na Białoruś ks. Zygmunt zaczął przyjeżdżać jako emeryt w 1988 roku. Z podziwem patrzyłem na tych księży, którzy mogliby cieszyć się zasłużonym odpoczynkiem, ale oni przyjechali, aby służyć tutaj Polakom, katolikom, tym wszystkim, którzy szukają Boga. Przy okazji chcę jeszcze wspomnieć ks. Bronisława Karbowskiego i wielu innych. Oni wszyscy mogli sobie siedzieć spokojnie w domu opieki w Polsce czy na jakiejś plebanii jako rezydenci, jednak oni poświęcali swoje życie dla ludzi na Wschodzie. O tych kapłanach nie wolno zapominać.

Należy podkreślić, że ks. Zygmunt był synem duchowym i bliskim świadkiem życia wielkiego kapłana - ks. Michała Sopoćko, spowiednika siostry Faustyny. Ksiądz Chodosowski po śmierci ks. Michała Sopoćko przejął od zmarłego przyjaciela próbę utworzenia Stowarzyszenia Misjonarzy Jezusa Miłosiernego, czyli męskiego zgromadzenia. Gdy proboszcz parafii w Mohylewie ks. Władysław Blin został mianowany biskupem diecezji witebskiej, ks. Chodosowski wyjechał z nim do Witebska, by zrealizować pragnienie założenia nowej męskiej wspólnoty zakonnej. Miał aprobatę bpa Władysława Blina. Jednak nie dane mu było dokończyć to dzieło, choć bardzo się starał. Po dwóch latach ciężko chory musi pozostawić swoje ukochane tereny i trafia do ełckiego domu dla emerytowanych księży. Przebieg choroby był bardzo trudny i tzw. palec cukrzycowy doprowadził do odjęcia mu nogi. Wtedy już zrozumiał, że nie powróci do Mohylewa. Kiedy go odwiedzałem, przekazywałem mu pozdrowienia od parafian. Słyszając o tym, płakał jak małe dziecko. Tak pragnął być w Mohylewie, w miejscu które kochał, na terenach, które były związane z jego dzieciństwem i młodością. To był człowiek Ziemi Wschodnich, człowiek mający ogromną miłość do tamtych ludzi.

Ks. Zygmunt jako potomek właścicieli ziemskich miał podwójne nazwisko Czerkas - Chodasowski. Na co dzień używaliśmy tylko tego drugiego członu, bo było prościej. Jego kapłańskie powołanie kazało mu wytrwale pracować na rzecz potrzebujących, a szlacheckie korzenie chyba wskazały mu kierunek, gdzie ma pracować. Parafie i życie religijne organizował w rodzinnych miejscowościach, a w swoim Rohaczowie pragnął rodową kaplicę przebudować tak, aby mogli gromadzić się tam okoliczni mieszkańcy. Ks. Chodosowski na Białorusi opiekował się również wspólnotami katolickimi: w Mścistawiu, Czausach i Szkłowie. Dodatkowo, z własnych środków, w Książcach wybudował kaplicę przy cmentarzu poświęconą Bożemu Miłosierdziu, bo był wielkim czcicielem Miłosierdzia Bożego i Matki Bożej Fatimskiej. Wszędzie gdzie się pojawiał, zawsze z figurką Matki Bożej z Fatimy. Ks. Zygmunt nie ustawał w pracy i tam gdzie mógł, naprawiał to, co zniszczyli Sowieci. Trzeba koniecznie wiedzieć, że na Mohylewszczyźnie jest wiele ruin i pozostałości po świątyniach wysadzonych powietrzem. Tak było np. w Faszczówce, gdzie kościół stał do 1967 roku. Podobny los spotkał sanktuarium Matki Bożej w Białyniczach.

Ks. Chodasowski miał ogromną cierpliwość do człowieka. Potrafił wysłuchać każdego, a do tego miał w sobie dużo empatii. Był wspaniałym spowiednikiem. W konfesjonale siedział tak długo, jak był potrzebny. Rozbudzał modlitewnie swoje parafie. Pomagały mu w tym starsze panie, które stanowiły potem mocny szkielet parafii. Swoich parafian uczył, jak naprawdę modlić się, pościć, spowiadać się. To właśnie pod jego kierunkiem powstały różańcowe róże i Legion Maryi. Ksiądz miał łatwość językową. Pamiętał język rosyjski, mówił bez akcentu, dlatego też trafiał bardzo szybko do ludzi. Pięknie zakończył swoje kapłaństwo, ofiarowując się ludziom. Ks. Zygmunt Czerkas- Chodasowski zmarł w diecezji ełckiej w 2008 roku. Byłem pełen podziwu dla tego kapłana. Kiedy przyjechałem,



PAWEŁ 33 lata, czyli byłem bardzo młody. Zdawałem sobie sprawę, że warto się mu przyglądać i naśladować. Ten i inni starsi kapłanie mobilizowali mnie do dużo większej aktywności. Oni stali się moim wzorcami w życiu kapłańskim. Od nich otrzymałem kolejną formację, jakże istotną dla tej pracy misyjnej.

Ks. Bronisław Karbowski

Ks. Bronisław Karbowski pochodził z diecezji wrocławskiej, choć urodził się w okolicach Brześcia, czyli na Białorusi. Do Mohylewa przyjechał w 1989 roku. Przez 10 lat pomagał ks. Blinowi. Wcześniej był proboszczem w Zamościu, tym pod Słuckiem. Jego, jak wielu innych, pociągała praca misyjna. Po pracy na Białorusi wyruszył dalej do Kazachstanu, gdzie poważnie się rozchorował, więc musiał wracać do Polski. Zmarł praktycznie zaraz po odebraniu go z pociągu. Ks. Karbowski to też niezwykła postać, oddana ludziom i Kościołowi. Był pasterzem, który nie obawiał się trudności. Kiedy się pojawiały, to po prostu dalej działał. Nie zatrzymywał się w swoim działaniu. Wszystko powierzał Panu Bogu, nawet tak przyziemne, ale niezwykle istotne sprawy, jak niezabranie paszportu ze sobą w drogę. Wszyscy się zastanawialiśmy, jak to się mogło stać, że bez paszportu pozwolono Mu przekroczyć granicę i dojechać do Polski. Ks. Bronisław nigdy nie powiedział, co wydarzyło się na granicy, nie zdradził się, jak to zrobił. Ciekawa historia, która nie ma swojego wyjaśnienia. Osobiście jestem przekonany, że ks. Bronisław Karbowski był pod szczególną opieką Anioła Stróża, który bardzo go pilnował i prowadził przez całe jego kapłańskie życie. Boże Dzieła, które pozostawił po sobie o tym mocno zaświadczać.

Ks. kard. Kazimierz Świątek

-

Ks. kardynał Kazimierz Świątek - kapłan - który 10 lat był na zesłaniu, w łagrach i więzieniach Wielki przyjaciel papieża Polaka św. Jana Pawła II. Biskupem został w wieku 76 lat, w wieku, którym biskupi przechodzą na emeryturę.

Ten wielki kapłan i biskup wywarł na mnie ogromny wpływ, podobnie jak i na innych, którzy znaleźli się pod jego opieką. Ks. kardynał był jak ojciec, który wlewał w nas najlepsze wzorce kapłaństwa. Z wielkim spokojem i szacunkiem uczył nas właściwego spojrzenia na Eucharystię, na Kościół i na kapłaństwo. Poprzez własne czyny kształtował w nas miłość i wyrozumiałość do ludzi, którzy bardzo często przychodzili do nas poranieni przez grzech, przez system ateistyczny czy człowieczy los. To on nauczał ludzi, jak ważne są sakramenty dla nich samych, aby ich życie nabrało właściwej i Bożej harmonii. Z wielkim taktem i szacunkiem zwracał się do ludzi, a oni go słuchali. Nas kapłanów uczył spokoju i często mówił: „Najpierw ochrzczij dziecko i cierpliwie poczekaj na ślub. Nie wymagaj wszystkiego od razu.” Oczywiście i to się działo. Ludzie sami dochodzili do świadomości tego, jak ważne jest sakramentalne życie i przychodzili prosić nie tylko o ślub. Ks. Kardynał nauczał nas i przypominał nam o tej podstawowej mądrości, że nie mamy na nic naciskać, tylko pozwolić działać Panu Bogu. Śp. ks. kard. Kazimierz Świątek miał ogromny wpływ na nasze myślenie, a w konsekwencji na nasze działanie. Jego doskonałe kontakty z kapłanami sprawiły, że dla nas wtedy młodych, stał się bohaterem do naśladowania. Zresztą nazywany jest świadkiem wiary. Wielu księży, uformował tak, że do tej pory mają w sobie gorliwość i zapał do pracy, choć wielu już ma starszą metrykę. Mam ogromną nadzieję, że Pan Bóg pozwoli i dopuści do procesu beatyfikacyjnego Księdza Kardynała.

**Pawła** są najważniejsze wyzwania duszpasterskie dla Kościoła katolickiego na Białorusi księdza zdaniem?

Kościół katolicki na Białorusi musi pogłębiać wiarę i rozwijać ją w młodym pokoleniu. Ogromnym pragnieniem obecnego metropolity ks. abpa Tadeusza Kondrusiewicza jest stworzenie akademii, która wychowywałaby świadomych katolików i formowała teologicznie społeczeństwo. To miejsce stałoby się namiastką przyszłego uniwersytetu katolickiego, gdzie młodzież, tu na miejscu, bez konieczności wyjazdu do Rzymu czy Polski, bez konieczności pokonywania tysięcy kilometrów, mogłaby rozwijać się dalej i zdobywać tytuły naukowe, które będą też biletem do dalszej solidnej formacji.

W Akademii Teologii, która ma powstać w Mińsku, będzie kształcona elita świeckich katolików oraz siostry zakonne i księża, którzy będą mogli pogłębiać swoją wiedzę, a co idzie za tym, podwyższać swoje wykształcenie. Jestem przekonany, że to będzie pozytywnie wpływało na rozwój Kościoła, który musi się też ciągle formować. Takiego miejsca, gdzie kształtuje się samodzielnie teologiczna myśl Kościoła Katolickiego, nie ma jeszcze na Białorusi. Owszem, w Grodnie jest i pracuje skromne środowisko naukowe, które wydaje akademickie zeszyty, ale to za mało. Na razie więc, nadal korzystamy z Polski i innych krajów, ale to się musi zmienić, jeśli chcemy, aby Białoruś miała swój silny Kościół Katolicki.

Ponadto, musimy tworzyć pokolenia kapłańskie, które pozwolą młodym księżom zdobywać potrzebne doświadczenie. Nie może być tak, że nie ma solidnego wikariatu, tylko po roku pracy na plebani, młody ksiądz jest rzucany na głęboką wodę. Młodzi księża muszą mieć miejsce i czas, gdzie ze spokojem nabiorą dojrzałości kapłańskiej i zostaną uformowani życiem i duszpasterstwem, jako mocni pasterze dla swoich przyszłych wspólnot. Podążając za słowami Ojca Świętego Jana Pawła II, który mówił: „Wyptnij na głębie”, musimy pamiętać, że tej bezpiecznej, solidnej głębi jeszcze tutaj nie ma. Jest naturalna, intuicyjna wiara w ludzie Bożym, na której niejeden ksiądz tworzył piękne wspólnoty, ale teraz nadszedł czas innego „siewu”. Chodzi o to, aby zasiew był głęboki, żeby nie było to powierzchowne, ugruntowane. Znamy doskonale przypowieść o ziarnach rzucanych w różne miejsca, więc doskonale wiemy, że ziarno rzucone w chwasty, na płytką glebę, kamienistą czy wyboistą, nie przyniesie obfitego plonu, tylko mały lub w ogóle. Kościół można i należy podziwiać, ale trzeba patrzeć na niego też obiektywnie, krytycznie, aby nie zatracić tego, co już zebrał, czyli oddanych kapłanów i wiernego ludu. My obecni kapłani musimy tak siać, aby Kościół stał się świadectwem dla wszystkich, bo tu na Białorusi jest i będzie jeszcze więcej uczniów Chrystusa. Ludzie kościoła, świeccy i oddani pasterze stworzyli już ogromne Dzieło Boże. Należy jednak pamiętać, że nie chodzi tylko o budowanie świątyń, ośrodków duszpasterskich czy poprawianie jakości życia duszpasterskiego. Przede wszystkim musimy zadbać o dobrą duchową pracę, która jest potrzebna, aby nie z kamienia i kości, ale z Ducha Świętego wszystko było i wszystko się tworzyło. Pan Bóg chce, żeby nasze serca były prawdziwe z ciała i Ducha. Abyśmy czuli to, co On chce od nas, abyśmy umieli rozpoznać przygotowaną dla nas drogę.

Wciąż się cieszę, bo już są pierwsze jaskółki, że Kościół na Białorusi się dzieli i rozwija. Mamy już swoich pierwszych misjonarzy. Pierwsza siostra zakonna pojechała na misję, teraz diakon wyjeżdża i jeden ksiądz jest też na misjach.

Nadal pozostaje najważniejsza formacja rodzin. Tu rodziny czekają na uzdrowienie, bo do tej pory jest wiele rozbitych rodzin. Rozwody są ciągle na porządku dziennym przy rozwiązywaniu problemów. Musimy dalej prowadzić nieustanną ewangelizację, żeby uzdrowić rodzinę.



~~RAJKA~~ Istotny problem, to dar życia, który jest zaniedbany i to pod każdym względem. Nie tylko musimy bronić samego nienarodzonego życia, ale musimy czynić wszystko, aby wyeliminować alkoholizm i narkomanię, które to zabija i ciało i ducha. Musimy formować każdego, aby nikt swoim postępowaniem nie zaprzeczał życiu, aby cenił dar, który otrzymał od Boga.

Dalej, bardzo ważne jest kształtowanie młodzieży, szczególnie akademickiej. Marzy mi się to, aby jak najlepiej rozwijało się duszpasterstwo akademickie. Tak samo widzi to nasz ks. arcybiskup i ks. Antoni Gremza, który jest odpowiedzialny za pięknie działające duszpasterstwo akademickie w Grodnie. Oby jak najwięcej takich wspólnot, działających duszpasterstw, było w całej Białorusi. Konieczna jest więc, systematyczna katechizacja dzieci. Do tego potrzebnych jest więcej katechetów, aby łatwiej można było dotrzeć do najmniejszych. Musimy zrobić tak, aby punkty, miejsca, gdzie katechizuje się, były jak najbliżej człowieka.

Choć już wiele zrobiono w tej materii, nadal istotną troską biskupów jest, aby jak najwięcej budować świątyń. Ciągłe na Białorusi są miejsca bez kościoła czy chociaż by kaplicy. Ludzie gromadzą się w zwykłej chacie i chwala Panu za to. Jednak potrzebne są miejsca kultu, które ze swej natury są miejscem dobrej formacji. Poprzez nawiedzanie świątyń następuje przeież budowanie szacunku i bojaźni Bożej. W ludziach wzrasta poczucie czci dla Boga, który stale oczekuje na nich w Eucharystii. Szczególnie w archidiecezji mińsko-mohylewskiej i witebskiej odnotowuje się taką potrzebę. Nie możemy też zapominać o zbudowaniu struktur Caritasu, który jak wiemy stanowi ważny czynnik w kształceniu empatii i postaw wolontariackich.

W latach 1996-2000 pracował Synod, który został zwołany na wniosek ks. kardynała Kazimierza Świątko. Głównym celem Synodu było zbadanie stanu wiary na terenach Białorusi. Prowadzono więc prace tak, aby uzyskać odpowiedzi, które zobrazują, jak ukształtowały się postawy ludzi względem Kościoła po długotrwałym prześladowaniu i wieloletniej propagandy ateistycznej. Ponadto przypatrywano się najbardziej aktualnym w danym momencie problemom i po zdefiniowaniu ich wyznaczono dalsze kierunki duszpasterskie.

Jako jeden z ojców tego Synodu, muszę ze smutkiem stwierdzić, że opracowane synodalne statuty nie są w pełni wykorzystywane. Gdybyśmy posłuchali tego, co mówi Duch Święty, który w Kościele działa poprzez biskupów, kapłanów i ludzi świeckich, to Kościół Białoruski byłby dzisiaj w innym miejscu. Dzisiaj musimy powrócić do wypracowanych podczas Synodu założeń, który słusznie zauważył, że należy poprawić metody nauczania Ewangelii. Chcąc pozyskać młodzież i dzieci, nie wolno nam zapominać o katechizacji również ludzi starszych, którzy przecież całymi latami żyli w sowieckim świecie bez Boga. Wiara, która w nich przerwała, była przekazywana z pokolenia na pokolenie, więc katechizacja tej grupy ludzi ma na celu stworzenie kolejnych osób, które ponownie będą we własnych domach strażnikami Słowa Bożego. W ten sposób utworzy się swoisty łańcuch pokoleń, który będzie mocnym podłożem do dalszej pracy z młodzieżą i dziećmi. Jako kapłani musimy popracować nad lepszym przekazem liturgii, aby zrozumienie jej nie sprawiało większych kłopotów, oczywiście nie trywializując prawd wiary. Praca kapłanów powinna cechować duża odpowiedzialność za swoją parafię i za cały Kościół.

Poszukując dróg, gdy chodzi o funkcjonowanie Kościoła, musimy być ostrożni, aby nie wywarzać drzwi, które są już dawno otwarte i wystarczy przez nie zaglądnąć i mamy „gotowca”. Co mam na myśli? Reformując, wypracowując nowe metody pracy nie wolno odrzucać wszystkiego bezkrytycznie. W naszych parafiach przecież są wspaniałe osiągnięcia na polu duszpasterskim. Mamy Rodziny Nazaretańskie, Kółka Różańcowe, Legiony Maryi. Mamy doskonałe podłoże, które możemy kontynuować i na którym możemy tworzyć nowe ogniska jednoczące ludzi przy Bogu. W czasie prac synodalnych korzystaliśmy z doświadczenia Kościoła w innych krajach, które potwierdzają powyższe założenia.



~~SYNOŁ~~ Pawła zwrócił uwagę na jeszcze jeden ważny aspekt. Na Białorusi nie ma konsekrowanego życia kontemplacyjnego, a brak tego zubaża Kościół. Jest więc ogromna potrzeba, aby powstały ośrodki życia kontemplacyjnego. Białoruski Kościół musi na nowo sobie uświadomić, że wszystkie stany muszą być obecne w Kościele, tak jak to jest wszędzie na świecie. Trzeba podkreślić, że jest to do otworzenia, bo na tych ziemiach czeka bogate dziedzictwo wielu klasztorów kontemplacyjnych, takich jak mariawitki, bernardynki, benedyktynki i wiele innych. Na nowo zbudowane życie zakonne żeńskie i męskie pomoże Kościołowi w nowej ewangelizacji, który z nową siłą musi głosić Słowo Boże Kościołowi, który się zestarzał, ale i Kościołowi, który wychodzi z prześladowań.

Czy można powiedzieć, że Kościół katolicki na Białorusi po prawie 30 latach odradzania się, zapuścił korzenie?

Kościół katolicki na Białorusi zawsze miał swoje korzenie, gdyby nie było tego dziedzictwa poprzednich pokoleń, to byłoby dużo trudniej. Ksiądz arcybiskup Tadeusz Kondrusiewicz czas, kiedy Kościół był prześladowany określa jako: „Czarnobyl duszy”. Wydarzyła się straszliwa katastrofa ateistyczna, której skutkiem była walka z Bogiem, religią i Kościołem, a także z człowiekiem. Teraz na nowo odradza się Kościół, oczyszcza się, uwalnia się z postkomunizmu. Zapamiętałem sobie mocno słowa papieża Jana Pawła II, który powiedział o Kościele na Białorusi, że „po długotrwałej zimie przyszła wiosna Kościoła, chociaż od czasu do czasu daje się jeszcze odczuwać przejawy tej zimy”. Białoruś zdobyła wolność i nie musiała przelewać krwi w ostatnim czasie. Musimy wszyscy pamiętać, że ta wolność jest jednak okupiona krwią męczenników rozsypanych po całym Wschodzie, całej Syberii i Imperium Rosyjskim. Właśnie dzięki nim, Kościół rzeczywiście dzisiaj żyje i odradza się. Ta krew męczenników przyczyniła się do Jego wzrostu.